

Między herezją a świętością

W r. 1348, za pontyfikatu awiniońskiego papieża Klemensa VI, wybuchła w południowej Europie straszliwa epidemia dżumy. „Czarna śmierć” nie tylko zabija, ale zmienia bieg życia. Świat wypadł z kolein — takie jest tło „Czerwonych nosów” napisanych przez współczesnego agnieleńskiego dramaturga Petera Barnesa, przetłumaczonych przez Stanisława Barańczaka, a wyreżyserowanych w poznańskim Teatrze Nowym przez Eugeniusza Korina.

Przed straszliwą śmiercią próbowano się bronić, zanosząc modły do Boga i polewając się octem. Wszechogarniające zagrożenie wyzwalalo reakcje irracjonalne. Zwielokrotnia się agresja, skierowana — jak zwykle — przeciwko obcym i wszelkiego rodzaju odmiencom. Papież w sztuce Barnesa mówi, że nie ma już od kogo pożyczać pieniędzy, ponieważ wszystkich Żydów spalono na stosach. Widziano w zarzecie przede wszystkim karę za grzechy. Przez kraj wędrują więc grupy pokutników. Upozowany na ukrzyżowanego Chrystusa Grez, w koronie cierniowej, kalecząc swe ciało (lejąca się obficie farba daje efekt szokujący i groteskowy), pragnie wskazać Bogu na rany Zbawiciela i „przypomnieć” mu o miłosierdziu.

Śmierć ma też sprzymierzeńców. Budzące grozę Czarne Kruki grzebią trupy i grabią, dobijając jeszcze żywych. Do dziury na środku sceny spychają co chwila martwe ciała, ale starają się także szerzyć zarazę, która dała im złowrogą władzę.

Zakonnik Flote — w tej roli pełen wewnętrznego ognia Janusz Andrzejewski — natchniony prawdziwą wiarą, przed rozpaczą i przerażeniem pragnie ratować ludzi śmiechem. Tworzy bractwo Czerwonych Nosów, które daje jarmarczne widowiska. Tańczy nawet z trędowatymi. Wraz z nim zakonnica, ksiądz, niemy linoskoczek, byli żołnierze — najemnicy, żebracy, ślepiec, kaleka, jakąś tworzą nie tylko grupę teatralną, ale rodzaj zakonu śmiechu i radości. Oficjalna hierarchia kościelna doceni ich użyteczność. Otrzymują poparcie papieża.

Zaraza jednak przemija, świat wraca do normy, a wówczas wszystko, co nosi rys indywidualności i prawdziwej wolności, zagraża zhierarchizo-

wanemu łaadowi. Dlatego też, na równi z przestępczymi Krukami i szalonymi bieżownikami, zginąć muszą Czerwone Nosi. Zmiażdży ich wielki walec. Za chwilę jednak będą się wspinać do nieba po drabinie, wykrzykując Bogu w nos swe żale i wąt-

pliwości. „Jak doszło do tego, żeś wszystko spaprał?” — zawoła zakonnica Małgorzata.

Efektowny, bardzo widowiskowy, śmieszny, w wielu wypadkach znakomicie grany, po jarmarcznemu rozbuchany spektakl Eugeniusza Korina, wzbudził w Poznaniu głosy protestu, dopatrzone się w nim bowiem obraży uczuć religijnych i papieża. Chociaż jednak Klemens VI, przez scenografa, Pawła Dobrzyckiego ukazany znakomicie, w klatce z luster, jest tu rzeczywiście szczwanym i bezwzględny politykiem, warszawiaczy nie dali się zwariować i gorąco oklaskiwali przedstawienie. Zauważyłam, że w trakcie I aktu wyszła tylko jedna pani.

IRENA MAŚLIŃSKA